

Cień w imperium Słońca

1 stycznia 2019

Amerykanie mają Stonehenge z samochodów, Australijczycy ożywiają średniowiecznych rycerzy dając im pistolety, a Kenijczycy grają w bilard, udając polowanie. Dawne kolonie nie zapomniały o Matce Anglii, ciągle czerpią z jej dziedzictwa, dodając jednak coś od siebie. Oto pocztówki z podróży po dawnym Imperium Brytyjskim.



W czasach swej największej świetności, na początku XX wieku, Imperium obejmowało jedną czwartą powierzchni całego świata. Ze wszystkimi koloniami i terytoriami zależnymi stanowiło największe w historii ludzkości państwo. Mówiło się o nim jako „imperium, w którym Słońce nigdy nie zachodzi”. Powstawało przez ponad 300 lat dzięki ekspansji handlowej, osadnictwie i podbojom. Choć rozpadło się na kawałki, kolonie i tereny zależne od Królestwa przyjęły język, technologię, strukturę administracyjną i prawną na wzór brytyjskiego modelu. Stąd Pavaan – znajoma Hinduska z Kenii, która studiuje w Australii – choć związana z trzema kontynentami, wszędzie porusza się lewą stroną jezdni. Stąd także Amerykanie, którzy wygrali pierwszą wojnę o niepodległość od Brytanii, wciąż mówią po angielsku.

Z czasów świetności brytyjskiego imperium pozostało wiele pamiątek. W Portsmouth, na południu Anglii, można zobaczyć okręt „Victory” admirała Nelsona, który w starciu pod Trafalgarem pokonał połączoną flotę francuską i hiszpańską w 1805 r. Zwycięstwo było początkiem wielkiej hegemonii Brytyjczyków na morzach świata, przyczyniając się do powstania imperium kolonialnego. Nelson, narodowy bohater i symbol wielkości ówczesnego państwa w czasie bitwy paradował w galowym, admirańskim stroju. Był raczej łatwym celem. Trafiony przez francuskiego marynarza, choć wygrał bitwę, wkrótce potem zmarł. I tak to było z tymi koloniami. Patetycznie i czasem śmiesznie.

Wszystko na głowie

W zamierzonych czasach głośnych odkryć geograficznych kapitan James Cook wypłynął z Anglii, by zmierzyć tor poruszania się Wenus w stosunku do Słońca oraz odnaleźć legendarną Terra Australis Incognita, nieznaną ziemię. Opisuując swoje odkrycie nieco się pomylił i wziął sezon deszczowy za porę suchą, uznając ziemię za bardziej przystępną niż była w rzeczywistości. Działając z ramienia króla zaanektował nieznaną ląd i nadał mu nazwę Nowa Południowa Walia.

Gdy wrócił do Matki Anglii i opowiedział o swoim odkryciu, niespieszno było nikomu zasiedlać nowoodkrytą ziemię. Właściwie trwało to aż 18 lat, zanim Brytyjczycy ruszyli ponownie w te dalekie strony, i wszystko, co mogli wymyślić, by zagospodarować nowy ląd to uczynienie z Australii kolonii karnej.

Pierwszym po Cooku był kapitan Artur Phillip, który przybył w pobliże dzisiejszego Sydney w styczniu 1788 roku. Na horyzoncie pojawiło się 11 statków wypełnionych po brzegi zesłańcami. Swe stopy na nowym lądzie postawiło 750 więźniów i 630 marynarzy, żołnierzy i członków ich rodzin. Pierwszej niedzieli, pod największym drzewem, odbyła się msza

dziękczynna. W międzyczasie więźniowie bezwstydnie kradli jedzenie, za co pokazowo trzeba było ich chłostać, ale gdy nawet taka kara nie przyniosła efektu – Phillip powiesił pierwszego skazańca, wysyłając go przez szafot do wieczności. Biały człowiek przybył do Australii, przywożąc swą kulturę i cywilizację.

Szybko okazało się jednak, że dysproporcja płciowa jest olbrzymia i pierwsze 193 kobiety to za mało dla sześciuset chłopca. W Londynie, na pokład „Lady Julian”, załadowano więc około 250 więźniarek i zaczęła się ich egzotyczna podróż do Nowej Południowej Walii. Oj, wesoły to był transport! Rząd brytyjski zamówił dla nich 60 dziecięcych ubranek, podejrzewając, że świeżość morskiego powietrza może podczas długiej podróży trochę dopomóc w amorach. Większość kobiet była w młodym wieku – nastolatki lub wczesne dwudziestki, tak samo z resztą jak marynarze. Podróż była ciekawa i ekscytująca. Mankament był tylko jeden. Jak pisał jeden z marynarzy: „Co miesiąc 200 kobiet zamkniętych razem zsynchronizowało w czasie swą miesiączkę... 200 na raz! I nie było się gdzie przed nimi schować”...

Rycerze z pistoletami

Na nowych osadników czekało w Australii wiele niespodzianek, jak chociażby ludzie, którzy już tu mieszkali od jakichś 40 tysięcy lat. Czytając prace historyków rysuje się czarna wizja walki z Aborygenami i rugowania ich z własnej ziemi, począwszy od oszustwa i sfingowanych transakcji zakupu, przez wykradanie dzieci, zamykanie w marginalizowanych komunach, pojenie alkoholem, aż po morderstwa, wszystko usprawiedliwione poszerzaniem przestrzeni życiowej i zapewnieniem bezpieczeństwa nowych przybyszów.

Brytyjczycy opanowali tę ziemię, dlatego teraz mówi się tu po angielsku, choć Francuzi też ostrzyli sobie zęby na ten kąsek. Dla ścisłości trzeba dodać, że Polacy nawet nie dali sobie

szansy na podbój. „Dar Pomorza”, pierwszy statek pod naszą banderą, wylądował w Australii dopiero w 1935 roku. Za późno... A mogliśmy sobie tę ziemię nazwać np. Nowym Pomorzem Zachodnim. Za późno, ale przynajmniej sumienie czystsze.

Nowi przybysze przywieźli też swoje niesnaski z Wielkiej Brytanii. W okolicach Melbourne, po których podróżowałem motocyklem, rozgrywała się akcja najsłynniejszej, legendarnej potyczki na linii przestępcy – policjanci, stoczonej w 1880 roku. Trzeba dodać, że policjantami byli Anglicy, a przestępcami Irlandczycy.

Legendą jest tu postać Neda Kelly`ego, przywódcy gangu, który spodziewając się pościgu i kolejnych starć z policją, kupował od okolicznych chłopów lub po prostu kradł metalowe pługi, a z ich lemieszy wykuwał sobie zbroje i hełmy!

Zaczęto śpiewać o nim piosenki, gazety rozpisywały się o gangu, twierdząc, że ich kradzieże wymierzone są jedynie w banki, policję i królewski rząd. Mówiło się nawet, że Kelly chce utworzyć republikę oddzielną od Korony. Ta legenda wciąż żyje. Bob, starszy człowiek, którego spotkałem w Kelly Country, prowadzi muzeum gangu. Gdy spytałem „dlaczego właśnie Kelly?”, powiedział:

– Bo prawdziwa historia jest jeszcze ciekawsza, niż to, co piszą w książkach.

Potem wyprostował się jeszcze i dodał z dumą:

– Mój dziadek robił broń dla gangu. Spędził za to 6 lat w więzieniu!

Wygląda więc na to, że przestępcy szkodzący Koronie stawiani są na piedestale. Nie zapominajmy też, że my, Polacy, mamy swój wkład. Nie tak dawno Polonia obchodziła dwusetną rocznicę osiedlenia się w tych stronach pierwszego z naszych rodaków. Tym bohaterem był niejaki Józef Potowski, przywieziony jako więzień z Anglii, za kradzież chusty do włosów w 1803 roku.

Nasz człowiek!

Angielski z Afryki

Najwięcej kłopotów mieli jednak Brytyjczycy w Afryce, gdzie pod koniec XIX wieku rozpoczął się wyścig między europejskimi państwami po nowe ziemie. Zdołali skolonizować niemal cały pas Afryki z północy na południe, planując nawet budowę kolei z Kairu do Kapsztadu. O tym, że ona nigdy nie powstała, przekonałem się podróżując po tych rejonach. Pozostały jednak kulturowe wpływy. W Egipcie, który zawsze łączyły z Brytanią szczególne relacje, nieznanomość języka prowadzi nawet do kompleksów.

– Przepraszam, ale słabo mówię po angielsku – tłumaczył mi zawstydzony chłopak o dziobatej twarzy, którego poznałem w autobusie do miasteczka Siwa.

– Nie szkodzi, ja też nie – odpowiedziałem, ciesząc się, że przynajmniej możemy zamienić kilka słów. Zawsze jestem wdzięczny ludziom, którzy próbują się ze mną kontaktować w obcym dla nich języku. – Mieszkasz w Siwie, prawda? Czym się zajmujesz? – zapytałem.

– Jestem nauczycielem.

– Świetnie. A czego uczysz?

– Angielskiego... – odpowiedział.

Hmm... To właśnie tutaj usłyszałem, że „język angielski urodził się w Anglii, dorastał w Ameryce, a umrze w Afryce”.

Podróże po krajach, które wyzwoliły się spod brytyjskiego jarzma, dostarczają też innych obserwacji. W Zimbabwe (dawniej Rodezja), które jako jedno z ostatnich państw uzyskało niepodległość, siedziałem trochę speszony na stadionie w Harare. Czekałem na przemówienie prezydenta Roberta Mugabe. Człowiek, który doprowadził kraj nad krawędź, był z siebie

bardzo zadowolony, przemawiał tubalnym głosem, echo niosło się po całym stadionie i wydawało się, że wszyscy słuchali. Mówił po angielsku, oficjalnie, ale wypowiedź przetykał żartami w języku szona.

Rodezja, od końca XIX wieku była kolonizowana przez białych farmerów, rugujących lokalną ludność z ich własnej ziemi, spychając ich do rezerwatów, dyskryminując na wszelkie możliwe sposoby. W latach 70-tych XX wieku garstka 5000 białych farmerów kontrolowała 70 procent ziemi uprawnej. Zdesperowana czarna większość zaczęła więc walczyć, w starciach z kolonialną armią poległo ok. 50 tysięcy ludzi. Zimbabwe uzyskało niepodległość i zaczęła się dwudziestoletnia batalia w sądach i zmiany konstytucji zezwalające na usuwanie białych farmerów oraz oddawanie ich ziemi w ręce czarnych przesiedleńców. Takie posunięcia pociągnęły jednak za sobą wszelkie konsekwencje – Unia Europejska z Wielką Brytanią na czele narzuciła gospodarcze i polityczne sankcje, kraj pozostał w izolacji, co zrodziło ekonomiczny kryzys, brak paliwa, obcych walut itd. Do dziś Zimbabwe pogrąża się w długach, inflacja szaleje, a turyści i inwestorzy uciekli.

Po przemówieniu na stadionie nastąpiły pokazy wyszkolenia policji, spadochroniarzy i całej masy dzieci, które pokazywały różne figury, układając swoje ciała w napisy.

Stadion był pełen, bo ludzie wreszcie mogli zobaczyć za darmo mecz najlepszych drużyn w kraju – z Harare i Masvingo. Dodajmy, że piłkę nożną przywieźli tu Brytyjczycy.

Barowa opowieść

Co jednak pocieszające, Afrykanie potrafią podejść do kolonialnych nowinek z dystansem, adoptując je na swój własny, oryginalny sposób. W kenijskiej Wambie usłyszałem o tym najlepszą barową opowieść na świecie. W małej miejscince na północy kraju, gdzie nie ma w domach prądu ani bieżącej wody, spotkałem doktora Paula. Siedzieliśmy w knajpie, przy ciepłym

piwie, oglądając finał Africa Cup of Nations, na skaczącym ekranie telewizora zasilanego z generatora na ropę.

Paul był lekarzem, ale zanim wyjechał się kształcić, całe dzieciństwo spędził z ziomkami z plemienia Samburu, pasąc krowy, trawiąc całe dni na rzucaniu kijami i patykami do celu.

– Bo co innego można było robić? – pytał.

Kiedy po raz pierwszy pojechał do Nairobi, kolonialnej stolicy, stanął tam oszołomiony wielkim miastem. Jakimś cudem trafił do zadymionego pubu ze stołami bilardowymi, przywiezionymi przez Brytyjczyków. Biesiadnicy zapytali go, czy zagra, widząc wiejskiego chłopaka jako łatwy łup, sposób zdobycia pieniędzy.

Paul powiedział, że nie wie, co to bilard. Biesiadnicy tym bardziej się ucieszyli i zaczęli tłumaczyć mu zasady. Trzeba kijem uderzyć białą bilę, która ma popchnąć kolorową do dziury. Nawet nie wiedział, jak to się stało, ale założyli się o kilkadziesiąt piw.

Dostał kij do ręki. Długo się nie namyślając, chwycił go wpół jak włócznię, rozpędzając się jak do rzutu i ruchem wyćwiczonym od dziecka pyknął białą kulę. Ta z impetem uderzyła kolorową, umieszczając ją w kieszeni.

Dźgnął następną – bang – też siedzi. I kolejną. I następną.

Wygrał.

– Okazało się, że dobry jestem też w rzutki – powiedział Paul.

– Ale nikt już nie chciał ze mną grać.

Autorstwo: Jarek Sępek

Strona autora: Sempeck.pl

Zdjęcie: [Holgi](#) (CC0)

Źródło: Cooltura24.co.uk